

Wierzyliśmy, że socjalizm da się naprawić

Myśmy nie kpili z hasła „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”



Rozmawia Robert Walenciak

Chińczycy mówią, że każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Zaczynamy więc od tego pierwszego kroku. W jaki sposób chłopak z Tczewa wybrał studia na SGPiS (dziś SGH)? Dlaczego ekonomię i dlaczego tam?

– Wtedy nie wiedziałem, co to jest ekonomia, bo w szkole nikt nam tego nie wyjaśniał. Ale przyglądałem się, co się wokół dzieje, i wielu

aspektów funkcjonowania rzeczywistości gospodarczej nie rozumiałem. A chciałem zrozumieć! Dzięki temu, że miałem mądrych nauczycieli, którzy pobudzili moje zainteresowania, regularnie czytałem dwa tygodniki – „Politykę” i „Kulturę”. Tej klasy tygodników we współczesnej Polsce nie ma.

Miał pan pieniądze na „Politykę” i „Kulturę”?

– Bogaci nie byliśmy, ale biedy też nie klepałiśmy. W dzieciństwie nie miałem piłki skórzanej, zawsze

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO

– ekonomista, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, wiceprezes Rady Ministrów i minister finansów w latach 1994-1997 i 2002-2003, twórca programów rozwoju społeczno-gospodarczego Strategia dla Polski, Pakietu 2000 i Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej.

gumową. Nie miałem modnych wtedy butów ze szpicami, bo trzeba je było kupić od prywatnego szewca, drogo, a w państwowych sklepach nie było. Miewałem inne akcesoria tamtego czasu, typu koszula non-iron, ale płaszcz ortalionowego już nie. Natomiast na książki i gazety pieniądze dostawałem od rodziców zawsze, bez żadnych problemów. Czytałem także tygodnik „Dookoła Świata” oraz „Film”. I miesięcznik „Kino”.

Chciał pan wyrwać się stamtąd?

– Chciałem studiować dostatecznie daleko, aby nie być zmuszonym do dojeżdżania z domu na uczelnię. Dlatego od razu wyeliminowałem studia w Gdańsku, chociaż bardzo lubię Trójmiasto. Przez rok, po maturze, dojeżdżałem tam do pracy dzień w dzień. Mój brat, Genek, jeździł do Gdańska do Technikum Komunikacyjnego, a potem całe swoje zawodowe życie. Mój tata, inżynier budowy dróg i mostów, odkąd tylko pamiętam, aż do emerytury.

11 lipca – ten moment mojego życia

A dlaczego wybrał pan Warszawę?

– Siostra studiowała na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Odwiedzałem ją kilka razy, będąc jeszcze w ogólniaku. I tak, interesując się problematyką społeczną, podjąłem decyzję, że spróbuję dostać się do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Za pierwszym razem, w 1967 r., nie przyjęli mnie, co miało daleko idące konsekwencje; marzec '68 spędziłem w Gdańsku, ale już 23 marca, w przeddzień imienin siostry, Gabrieli, byłem w Warszawie, waletując przez kilka dni w żeńskim akademiku na Madalińskiego. Na studia dostałem się za drugim razem, w 1968 r. Moment, kiedy 11 lipca zobaczyłem swoje nazwisko na liście przyjętych na studia, był jedną z najważniejszych chwil mojego życia. Jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności tego samego dnia, 11 lipca, ale pokolenie później, w 1996 r., jako wicepremier Rzeczypospolitej Polskiej podpisałem w Paryżu historyczny akt przystąpienia do OECD.

I co dalej? Jakie były pańskie zamiary na samym początku studiów?

– Po pierwsze, był jeden wielki znak zapytania – co to jest ekonomia? Po drugie, szybko rozumiałem, że są i będą przedmioty, które mnie fascynują, i takie, które mnie mało interesują. Przyjąłem więc taką taktykę: to, co ciekawe, zgłębiam, idąc nawet dalej, niż profesorowie i ich asystenci wymagają, a resztę dla porządku zaliczam, bo muszę. Po trzecie, wielce interesujące okazały się wykłady z ekonomii politycznej kapitalizmu prowadzone przez prof. Maksymilianą Pohorillego. To one skierowały mnie na tory ekonomii. I po czwarte, w pierwszych dniach studiów na SGPiS zostałem działaczem.

11 lipca 1968 r. dostałem się na studia, a 28 lat później jako wicepremier Rzeczypospolitej Polskiej podpisałem historyczny akt przystąpienia do OECD.

Tak szybko?

– Nigdy przedtem nie byłem działaczem. No, kilka razy byłem gospodarzem klasy. W Tczewie używałem życia nastolatka. Częściej miałem sprawowanie obniżone niż nie... W klasie dziewiątej i dziesiątej liceum – według obecnego systemu drugiej i trzeciej – miałem ocenę dostateczną. Na świadectwie maturalnym rada pedagogiczna oceny ze sprawowania mi nie obniżyła ze względów humanitarnych, bo to przekreśliłoby jakiegokolwiek szansę na dostanie się na studia.

Dlaczego obniżano panu ocenę ze sprawowania?

– Za krnąbrność, za niesubordynację, za chyba zbyt częste stawianie nauczycielom niewygodnych pytań i za różne młodzieżowe rozróbki.

W ZSP rozwinąłem skrzydła

A jak pan został działaczem?

– Na zebraniu, w przerwie pierwszego wykładu z matematyki, zjawiała się koleżanka, studiowała rok wyżej, i powiedziała, że trzeba wybrać starostę grupy. Cisza. Nikt nie chciał. Więc aby skończyć sprawę, powiedziałem: „To ja mogę być”.

Zaraz potem był kolejny punkt, spotkanie starostów, na którym przewodnicząca komisji ds. pierwszego roku zapowiedziała, że każda grupa dostanie jakieś ważne zadanie. Wymieniła ich kilka. Jedno z nich było takie, że na naszych otrzęsinach, które przeprowadzić w klubie Hades, trzeba przeprowadzić wybór miss roku, a to niełatwe zadanie. No to natychmiast się zgłosiłem i przygotowałem pomysły, jak to przeprowadzić, bo zawsze lubiłem niełatwe zadania.

A potem w klubie Hades w podziemiach SGPiS były te otrzęsiny. I pan...

– Zezłościłem się, bo kierownik klubu też miał swój scenariusz. Wystąpił, zabrał głos i pod jego dyktando

do wybrano miss roku. Ja miałem inną koleżankę upatrzoną do obiektywnego zwycięstwa, więc zrobiłem awanturę przewodniczącemu rady wydziałowej. „Jak to możliwe, że dajecie nam zadanie, my przygotowujemy plan, a wy robicie swoje konkursy!”, objechałem go. Był tak zszokowany, że sprawdzili moje papiery złożone w dziekanacie przed egzaminami wstępnymi.

Ciekawi byli, co to za człowiek, skąd się wziął?

– A w tych papierach opinię miałem taką, że lepszej mieć nie można. Przez rok pracowałem jako robotnik na budowie tunelu pod dworcem Gdańsk Główny. Miałem dobre stosunki z kierownikiem budowy. Poszedłem więc do niego i mówię: „Panie inżynierze, na studia będę zdawał, potrzebuję opinię”. On na to: „Napisz i przynieś”. Napisałem, przyniosłem, kierownik podpisał. To była chyba najlepsza opinia spośród wszystkich kandydatów na SGPiS.

Nie dziwi mnie to.

– Jak przeczytali, jaki jestem och! i ach! – a dałem wyraz swojej aktywności, energii i witalności przy incydencie z piękną pierwszą roku – to mi zaproponowali, żebym

wszedł w skład Rady Wydziału Zrzeszenia Studentów Polskich, ZSP. Jeszcze w październiku, na pierwszym semestrze, zostałem jej członkiem – przewodniczącym komisji propagandy i informacji. Chodziło o propagowanie ruchu studenckiego, informowanie o tym, co dzieje się w zrzeczeniu, na wydziale, w naszej akademickiej społeczności. No i tak rozwinąłem skrzydła.

Nie miałem czasu na nieciekawe wykłady

ZSP pana wciągnęło?

– Absolutnie! Już w połowie drugiego roku studiów zostałem przewodniczącym Komisji Kultury Rady Uczelnianej. Dobrze się w tym czułem. Gdy byłem szefem komisji propagandy i informacji na wydziale,

oddziaływanie na zmianę rzeczywistości na lepszą. Oczywiście na wąskim poletku, na uczelni; żeby były dobre warunki do studiów, zarówno materialne, jak i intelektualne. Z czasem horyzonty społecznych i politycznych zainteresowań się poszerzały. Coraz bardziej uświadamiałem sobie, ile problemów jest wokół. Już na drugim roku, studiując ekonomię polityczną socjalizmu, zacząłem sobie zadawać pytanie: skoro jest tak dobrze w teorii, to dlaczego nie jest tak dobrze, a czasami wręcz jest źle w praktyce? Błąd koncepcji czy wykonania?

Był pan wybierany do ciał ZSP?

– Rada Wydziału dokooptowała mnie do swojego składu. Do Rady Uczelnianej były w pełni demokratyczne wybory, tajne i powszechne. Z kolei rada wybrała Komitet Wyko-

w drugim terminie. Bardzo to przeżyłem. W związku z tym zostałem zmuszony do ustąpienia ze stanowiska przewodniczącego RU ZSP. Realizowaliśmy zasadę, że działacz studencki ma być wzorem dla innych, a repetent takim nie był.

O co chodzi z tym podtekstem politycznym?

– Była jesień 1971 r. Po drodze działy się różne rzeczy. Po grudniu 1970 r. powstała na SGPiS partyjna komisja, w której był przedstawiciel każdego z pięciu wydziałów oraz student, więc z klucza jako prezes ZSP trafiłem tam i ja. No i robiliśmy wielką uczelnianą odnowę. Trzeba było posprzątać, usuwać błędy, reformować i inicjować. Ja się wtedy uczyłem polityki realnej... Do dziś pamiętam, jak sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Jerzy Kuberski, później ambasador Polski w Watykanie, na spotkaniu za zamkniętymi drzwiami, wysłuchawszy naszych uwag co do funkcjonowania nie tylko naszej uczelni, lecz szerzej środowiska akademickiego z jego badaniami naukowymi i dydaktyką, powiedział, abyśmy uważali, co piszemy w swoim raporcie, bo nie można robić sobie zbyt wielu wrogów naraz. A ja sobie narobiłem trochę tych wrogów... I niektórzy uważali, że zostałem na tę repetę skierowany, żeby był ze mną święty spokój.

Wybrałem naukę

Żeby miał pan nauczkę?

– Pewnie tak, ale studia skończyłem w terminie. Chodziłem na zajęcia rok wyżej, niczego nie powtarzałem, z wyjątkiem tego angielskiego, który szybko zdałem. Zrobiłem – formalnie biorąc – dwa lata studiów w ciągu jednego roku, przedłożyłem pracę magisterską napisaną u prof. Pohorillego z oceną bardzo dobrą i zostałem panem magistrem. Notabene wtedy w moim życiorysie pierwszy raz pojawia się Ministerstwo Finansów, bo za tę pracę, o nierównowadze rynkowej w Polsce, dostałem nagrodę ministra finansów. Chyba aż 2 tys. zł! Ministrem wtedy był Stefan Jędrzychowski. I walka szła o to, aby zostać w Warszawie.

To co pan zrobił?

– Zaczepiłem się jako kierownik usług gastronomicznych w Studenckiej Spółdzielni Pracy Universitas. Przez parę miesięcy. Barek na piętrze w klubie Stodoła to moje dzieło. Już po zakończeniu budowy klubu powiedziałem: „Tu czegoś brakuje”. I rzutem na taśmę powstał barek. Więc włóczyłem się po klubach studenckich, które zaopatrywałem: Nowy Medyk, Stodoła, Hades, Remont... To było piękne życie, ale bez perspektyw. Na szczęście okazało się, że są dwa dodatkowe miejsca na studiach doktoranckich. Na początku grudnia były egzaminy, poszedłem i z marszu zdałem. Zostałem doktorantem SGPiS. To był kolejny przełom w życiu. Szybko napisałem dyseratację doktorską u prof. Pohorillego na temat cykliczności wzrostu w gospodarce socjalistycznej. To była nowatorska praca, która odbiła się echem nie tylko w Polsce. Potem znalazł się etat w Katedrze Ekonomii Politycznej na Wydziale Ekonomii Produkcji, gdzie wcześniej studiowałem. To przesądziło, że wszedłem na ścieżkę kariery naukowej.

Wybór był świadomy?

– W pełni. W tym czasie nauka była już moim priorytetem. Już wiedziałem, że to wspaniała sprawa, że chodzi tu o prawdę, o docieranie do istoty rzeczy. Że uzyskanie odpowiedzi na każde pytanie od razu

Przez rok pracowałem jako robotnik na budowie tunelu pod dworcem Gdańsk Główny.

stawia nas w obliczu następnych pytań. Jest to więc nigdy niekończąca się przygoda intelektualna. To było fascynujące. Zwłaszcza że nasza rzeczywistość w tamtym okresie rozjeżdżała się z tym, co nauki ekonomiczne przedstawiały. Kontestowania i wątpliwości było coraz więcej. Dla mnie ekonomia – nauka humanistyczna, z człowiekiem i jego potrzebami w centrum – ma w sobie dwa niezbywalne nurty. Opisy – tzw. ekonomia deskryptywna.



W 1968 r. Grzegorz W. Kołodko dostał się na studia na SGPiS.

Obserwuj, analizuj, staraj się zrozumieć, co od czego zależy, a jak już zrozumiesz, wyjaśniaj to innym. Dlatego dużo publikuję, w wielu językach. A potem jest część postulatowa – tzw. ekonomia normatywna. Gdy rozumiesz już, jak jest i dlaczego, to co i jak zrobić, aby było lepiej. Natychmiast człowiek staje przed pytaniami: lepiej – to znaczy jak? Lepiej – ale dla kogo? Lepiej – ale

jakim kosztem? Lepiej – ale jak się podzielić kosztami i efektami? To są odwieczne pytania.

Jaka była wtedy Polska waszych marzeń?

– Wtedy? Myśmy nie kpili z hasła „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Na pewno chodziło nam o to, aby była to Polska socjalistyczna, ludowa, z autentyczną sprawiedliwością społeczną, ale razem by gospodarka była lepsza – ekspansywna, szybko rozwijająca się.

Dla mnie bardzo ważne było cały czas – już od roku 1970 – aby była ona dynamicznie zrównoważona.

To był szok kulturowy

Kiedy po raz pierwszy pojechał pan na Zachód?

– Po raz pierwszy za granicę pojechałem, będąc panem magistrem. Jeśli więc ktoś spotka się z opinią, że gdy byłem działaczem, wykorzystywałem to interesownie do wyjazdów zagranicznych, jest to nieprawda. Odwrotnie, będąc prezesem Rady Uczelnianej ZSP, miałem możliwości wręcz samokwalifikowania się, ale gdy zobaczyłem, jaka atmosfera towarzyszy przydzielaniu tych wyjazdów – na praktyki, na wycieczki, w ramach wymiany – doszedłem do wniosku, że w tym nie będę uczestniczył. Byłem ponad tę ostrą rywalizację i demonstracyjnie nie wyjechałem ani razu podczas studiów. A wcześniej, gdy mieszkalem z rodziną w Tczewie, też nie wyjeżdżałem za granicę, bo było to dla nas zbyt drogie.

Jaki więc był pański pierwszy wyjazd?

– Praktyka studencka, trzytygodniowa. Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Bratysławie, potem krótki pobyt w Brnie i Praga. To był lipiec 1973 r., byłem doktorantem. Na tak nieciekawym wyjeździe nikt z etatowej kadry Katedry Ekonomii Politycznej nie chciał jechać jako opiekun grupy studentów. Więc „wrobili” mnie, za co jestem bardzo wdzięczny.

Dlaczego?

– To był szok kulturowy. Choć była to tylko Czechosłowacja, dla mnie był to też inny świat. Podobnie, ale inaczej – od języka i kuchni po kulturę i zwyczaje. Zafascynowało mnie to. Rozglądałem się też wokół jako ekonomista: dlaczego, choć ustrój podobny, niedobory są mniejsze, kolejki krótsze? Dlaczego piwo jest nawet późno wieczorem, a u nas już wczesnym popołudniem nie starczało? Rok później to już był wyjazd indywidualny, na całość, na Zachód. Wyjechałem na czterotygodniową praktykę AIESEC w oddziale banku ▶

► w Cagliari na południu Sardynii. Jechałem tam miesiąc, po drodze zwiedziłem Wiedeń, byłem w Wenecji, Bolonii, San Marino, Pizie, Florencji, Rzymie i zaokrętołem się w Neapolu. Wracając, popłynąłem promem do Genui i stamtąd autostopem, przez włoską i francuską Riwierę, do Marsylii i Paryża, i dalej do Brukseli, Amsterdamu, do Kolonii i do Monachium na festiwal piwa, stamtąd do Getyngi i do Berlina Zachodniego. Całą trasę od Genui do Berlina zrobiłem autostopem. Do Berlina wschodniego metrem i potem już pociągiem. Przejechałem Odrę, zgłosiłem się do konduktora z prośbą o bilet kredytowy, bo byłem bez grosza, a dokładnie

Wbrew partii wystartowałem w tajnych wyborach, wygrałem i zostałem najmłodszym w historii SGPiS przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP.

bez feniga. Wróciłem do Warszawy, wymieniałem na złote 10 marek zachodniemieckich, które w Getyndze dał mi tamtejszy biedny student, zapłaciłem za bilet z Berlina i jeszcze wystarczyło mi na wykupienie obiadów na cały październik w stołówce pracowniczej SGPiS. Nawet jeszcze zostało na bilet do kina.

To przejechał pan przez jedno lato całą Europę Zachodnią...

– Prawie. W następnym roku popłynąłem do Helsinek, przejechałem autostopem Finlandię, Nordkapp w Norwegii, dotarłem do Sztokholmu, pojechałem na południe Szwecji i tam przez trzy tygodnie i trzy dni pracowałem, układając kwiaty w szklarni; znowu jako niewykwalifikowany robotnik. Zarobiłem tyle pieniędzy, że starczyło mi na tydzień pobytu na Wyspach Kanaryjskich. Byłem wyszukiwanym robotnikiem w tym „zgniłym kapitalizmie” i miałem okazję porównać tym razem już praktykę, nie tylko teorię, do losu proletariusza w Polsce Ludowej. W sposób oczywisty te wszystkie obserwacje i doświadczenia zmuszały do przemyśleń i miały wpływ na moje naukowe zainteresowania i badania, choć wtedy jeszcze byłem przekonany, że gospodarka realnego

socializmu jest reformowalna. W roku 1977 byłem po raz pierwszy w USA, w pierwszym Nowy Jork i Waszyngton, później przez miesiąc mieszkalem ze zwykłymi amerykańskimi rodzinami na prowincji w stanie Ohio, a potem z przyjaciółmi zjechaliśmy całe Stany od wybrzeża do wybrzeża; 20 tys. km w niespełna miesiąc! Wszystkie noce w jadącym samochodzie...

Szybciej zmniejszy dystans

Jak pan sobie wtedy wyobrażał przyszlą Polskę?

– Wtedy nie sądziłem, że z czasem staniami się krajem kapitalistycznym, tylko chciałem, aby nasz

dystans rozwojowy do Europy Zachodniej szybciej się zmniejszał, uważając, że można tego dokonać w ramach ustroju socjalistycznego, ale z zasadniczo większą dozą regulacji rynkowej. Wierzyliśmy, w przytłaczającej większości, nawet konstatując punktowo realny socjalizm, że to jeszcze da się naprawić, ulepszyć... Jeszcze tak podchodziłem do sprawy, robiąc habilitację w 1984 r.

Epokowym osiągnięciem socjalizmu było uprzemysłowienie kraju.

A tak przy okazji, od tamtego czasu sam projektuję okładki większości moich książek. Wtedy były to stoje przeciętego pnia drzewa z kilkoma dziesiątkami w środku; od nadmiaru słusnych celów pień pękał.

Czy myślał pan, że socjalizm będzie ewoluował?

– On już wtedy ewoluował. Pierwsza wielka zmiana, którą obserwowałem, to były lata 70. Mieliśmy do czynienia z luzowaniem planowania nakazowo-rozdziałowego, wzmacnianiem roli sektora prywatnego, z innym stosunkiem do rolnictwa indywidualnego, z coraz większą skalą

otwarcia gospodarki narodowej na kontakty ze światem zewnętrznym, w tym z Zachodem, co sprzyjało konkurencyjności naszej gospodarki. Poprawiało się zarządzanie, intensyfikowany był postęp techniczny. Jednakże systemowy brak tzw. twardych ograniczeń budżetowych prowadził do przeinwestowania gospodarki i załamania równowagi gospodarczej. Pisałem o tym, przestrzegając, już w pracy doktorskiej złożonej w 1975 r. **A lata 80.?**

– To już zupełnie inna epoka. Obok pracy w SGPiS byłem na pół etatu doradcą prezesa NBP, Stanisława Majewskiego. Gdy szedł do Sejmu, podpowiadałem mu, żeby, prezentując bilans przychodów i wydatków ludności z wciąż dużą luką popytową, nie piszczeć jak mysz, tylko ryknąć jak lew. Pamiętam, co mi odpowiedział: „Panie doktorze, to nie jest dobry czas, bo jeszcze duch Popieluszki krąży nad Sejmem”.

Ogromną wagę miały czynniki polityczne.

– Tak, zdecydowanie. Zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Tamte reformy wszakże, które co bardziej światli przywódcy polityczni ze swoim zapleczem fachowych ekonomistów chcieli przeprowadzić, to nie był zamiar odchodzenia od ustroju socjalistycznego, lecz próba jego ratowania przez nadanie mu wyższej efektywności ekonomicznej i uzyskanie większej akceptacji społecznej. Niezbyt udane, bo niekonsekwentne były reformy pierwszej połowy lat 80. W międzyczasie opublikowałem jedną z pierwszych

w Polsce monografii o inflacji w socjalizmie; to była moja książka profesorska. Zatytułowałem ją „Polska w świecie inflacji”; tak trochę à propos „Alicji w Krainie Czarów”.

Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić

Prezesem NBP został wtedy prof. Władysław Baka.

– Tak. Współpracowałem z nim, gdy przygotowywał „Program umacniania pieniądza”. Ale wtedy, w roku 1987, wskutek coraz silniejszej inflacji pieniądza coraz bardziej słabł. Nie mógł się umacniać, bo to wymagałoby spadku

cen i wzmocnienia kursu walutowego złotego. Tymczasem nie tylko rosły ceny, lecz także poszerzał się zakres bardzo dotkliwych niedoborów, i w sferze produkcji, i w odniesieniu do towarów konsumpcyjnych.

To ten syndrom, który w literaturze nazwał pan *shortageflation*.

– Tak. I to była główna przyczyna upadku państwowego socjalizmu, z czego później stosowne wnioski wyciągnęli Chińczycy. Tam już od z górą 30 lat nie ma niedoborów, choć – tak uważam – socjalizmu też nie ma. Ani kapitalizmu. To hybrydowy system, który nazywam chinizmem. Wracając zaś do Polski, proponowałem prof. Bace, aby opracować i wdrażać przełomowy program nie wzmacniania pieniądza, ale wzrostu roli pieniądza, czyli w istocie by pójść dalej i szybciej w kierunku urynkowania i deregulacji, liberalizacji gospodarki i pluralizmu własnościowego. I tym razem pamiętam odpowiedź prezesa NBP: „Panie docencie, jeszcze atrament na planie pięcioletnim nie wysechł”. **Widział pan Zachód, który jest efektywny gospodarczo. Nie miał pan wrażenia, że tu nie ma co reformować, że to trzeba zmienić?**

– Z czasem – tak. Zależy, o który moment historii pan pyta. Inaczej widziałem to, rozpoczynając w 1968 r. studia na SGPiS, inaczej, kiedy już co nieco rozumiałem ze sposobu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej w 1978 r., jeszcze inaczej w 1988 r., gdy już było oczywiste, że sensowne urynkowanie gospodarki jest niemożliwe bez demokratyzacji państwa.

Bo socjalizm się wypalił?

– Państwowy socjalizm wiele spraw rozwiązał. Jego wielkim sukcesem była strukturalna likwidacja bezrobocia, poprawa jakości kapitału ludzkiego, począwszy od totalnej eliminacji analfabetyzmu. Epokowym osiągnięciem było uprzemysłowienie kraju. Polski socjalizm to był przełom nie tylko polityczny i kulturowy, lecz także ekonomiczny, który

Pierwsze rządy solidarnościowe miały przyzwolenie społeczne na rzeczy nie do pomyślenia przed rokiem 1989.

unowocześnił strukturę gospodarki i wyeliminował eksploatorskie instytucje. Z czasem wszakże zaczął więcej problemów tworzyć, niż rozwiązywać – zwłaszcza w sferze nierównowagi – i dlatego musiał upaść pod ciężarem własnej niewydolności wobec warunków technologicznych i zmian w gospodarce światowej.

To tłumaczy życiowe drogi wielu ludzi, którzy przeszli przez Polskę Ludową, a potem III RP.

– Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić. Że należy iść w kierunku wielosektorowej społecznej gospodarki rynkowej. Ale potrzebny był przełom polityczny, by dokonać jakościowego, nieodwracalnego pchnięcia gospodarki na właściwe tory. Reformy profesorów Sadowskiego i Baki, choć cząstkowe, zmierzały we właściwym kierunku. Ale były blokowane politycznie zarówno przez rządzącą konserwę polityczną w partii i administracji, jak i przez opozycję, w myśl

przyświecającej jej zasady „im gorzej, tym lepiej”. Nie może funkcjonować żaden rynek, jeśli ceny nie są swobodne. A oswobodzanie cen było natychmiast blokowane strajkami i protestami przez Solidarność, która, choć zdelegalizowana, była tolerowana. Potrzebna była odpowiedź polityczna, a nie tylko ekonomiczna. Trzeba było dogadać się ponad podziałami ideowo-politycznymi.

I się dogadali...

– Dogadaliśmy się. Nie oni, tylko my. Sam też zimą i wiosną 1989 r. zasiadałem i dyskutowałem przy Okrągłym Stole. Gdy powstał koalicyjny rząd premiera Mazowieckiego, rzeczy niemożliwe stały się możliwe. Zachód zniósł sankcje i zaczął nam pomagać. Społeczeństwo godziło się na wyrzeczenia nawet większe niż te konieczne do poniesienia. Półki szybko stały się pełne, dlatego że kieszenie stały się puste. Te pierwsze rządy miały przyzwolenie społeczne na rzeczy nie do pomyślenia przed rokiem 1989. Przełom był polityczny. Szkoda tylko, że to zaufanie społeczne zostało nadużyte wskutek błędów koncepcyjnych i realizacyjnych tzw. terapii szokowej, która pociągnęła za sobą nadmierne koszty, zarazem nie przynosząc oczekiwanych rezultatów. Ale to już osobny temat.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Kliknij opcję
KUP NA PREZENT

ROCZNA – 100 zł
PÓŁROCZNA – 50 zł
KWARTALNA – 25 zł
MIESIĘCZNA – 10 zł



NIE CZEKAJ!
KUP E-PRENUMERATĘ,
NIM SKOŃCZY SIĘ PROMOCJA

CO SOBOTA NOWE
e-wydanie PRZEGLĄDU

Oferta tylko do końca grudnia!

sklep.tygodnikprzeglad.pl